TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 15. *Chicago, Ills., 7 Października, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

— Oto, dowiedziałem się wczoraj, — mówił dalej misternie Wota — będąc najłaskawiej przypuszczonym do familijnego towarzystwa królestwa Ichmość, dowiedziałem się, mówię, iż Najjaśniejsza Pani jak najusilniej pragnie mieć pomiędzy posłami wierną, zupełnie sobie przychylną osobę, któraby dla niej w sejmie działała, i dochodząc zręcznie jakieby mogły być widoki i życzenia opponentów dworu; doradzać jej mogła, jakimby sposobem przychylne ich zdanie mogła zjednać lub przynajmniej do milczenia nakłonić ich można. A gdyby królowa Pani taką osobę znaleźć mogła, toby, jak sama wczoraj wyznała, wszystko dla niej uczyniła, coby ona sobie tylko życzyć mogła.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Wota przechyliwszy głowę, z uśmiechem i z żywem wej-

rzeniem patrzał na Ruszczyca jakby chciał powiedzieć:

— Domyśl się reszty.

On zaś odstąpił w tył parę kroków, zmarszczył czoło, ściągnął brew, podparł się lewą ręką na szabli, prawą nogę naprzód wystawił i rzekł ponuro:

— Taką osobą miałbym ja być niby?

— Sic, sic, Illustrissime! — rzekł kiwając głową Wota.

— A jakto nazywają takiego — rzekł w podobnym jak pierwej tonie Ruszczyc — co to podchodzi przyjaciół i kolegów swoich, a wyłudzając od nich otwarte zwierzanie się lub wynurzenie myśli, donosi, gdzie potrzeba to co odkrył?

— Mniejsza o nazwisko — rzekł Wota, biorąc go za rękę — aleby mu się z tem jak najlepiej działo, i nikomuby w świecie z tem źle nie było; bo królowa Pani ma jak najlepsze widoki, a to, o co się sejmującego strony opierają, jest tylko czczą formalnością. Czy pieczęć wielka koronna w sejmie czy tylko w senacie doręczoną została, to nikomu nic nie szkodzi; a królowa chce koniecznie, i to dla dobra kraju, aby wojewoda trocki przy wielkiem kanclerstwie pozostał. Cóż to komu szkodzi, że biskup warmiński, Radziejowski, będzie zarazem podkanclerzem? a tu o takie drobnostki tyle sprzeczek, tyle kłótni, które nic nie znaczą: verba, verba, et praeterea nihil. Nie lepiejżeto położyć tamę temu wszystkiemu? Tego sobie królowa jak najusilniej życzy; lecz do tego potrzebuje osoby, którąby jej doradzała, jakim sposobem najzaciętszych przeciwników ująć można.

— I królowa na mnie oko w tym zamiarze rzuciła—rzekł Ruszczyc głęboko zamyślony.

— Wyraźnie niby Was królowa nie mianowała, — rzekł Wota z namysłem, — ale z jej mowy można było się domyśleć, że się to nie do kogo innego ściągało.

— Więc gdybym się poświęcił tym usługom — mówił Ruszczyc z podobnym jak wprzódy rozmysłem — królowa uwolniłaby wtedy Pannę Modrzejowską od dalszej usługi i przystałaby na niezwłoczne zawarcie naszych związków małżeńskich?

— O niezawodnie! na to Wam głową moją ręczę — rzekł Wota, pochwyciwszy jednę rękę Ruszczyca i uderzając w nią lekko dłonią. Przy tem był uśmiech wygranej na twarzy, a oczy żywą tęsknotą przejęte śledziły każde poruszenie twarzy Ruszczyca.

On zaś zapytał się dalej:

— A gdybym ja odmówił tej usługi, czyby się królowa opierała moim zamiarom?

— O Dio! — zawołał niby z wielkim przestrachem Wota, odskakując na bok,— anibyście byli w stanie przełamać trudności, jakieby Wam w tym razie nastręczano i pewniebyście musieli jeżeli nie zupełnie wyrzec się Waszych zamiarów, to przynajmniej odwlec ich uskutecznienie do nieskończenie długiego czasu.

— Poczciwy, dobry przyjacielu! — zawołał Ruszczyc ściskając Wotę — z jakiegożeście mnie kłopotu wybawili? jakżeście mi szczęśliwą myśl podali? dzięki niechaj Wam będą nieskończone, korzystać będę z tego coście mi powiedzieli.

To rzekłszy, oddalił się szybko; a Wota odetchnąwszy jak zwycięzca, który długą walkę z wątpliwem szczęściem toczyć musiał, wrócił z wypogodzoną twarzą do pokojów, w których się znaczna liczba królowi przedstawić się mających osób zgromadziła.

Ruszczyc zaś udał się niezwłocznie do Maryi. Oznajmienie jego przybycia przypomniało jej, iż nadszedł czas, w którym stanowczy wybór między najsłodszem marzeniem łudzonej wyobraźni, a wypełnieniem obowiązku uczynić wypadało. Jakkolwiek przygotowana oddawna na to, iż ta trudna chwila prędzej czy później koniecznie, nastąpić musi, uczuła wszelakoż Marya wewnętrznie mocne wzruszenie, gdy poznała iż jej dłużej odwlekać nie można było. Dla tego w największem pomięszaniu wyszła naprzeciw oznajmionemu Ruszczycowi i drżąca przed nim stanęła nie śmiejąc pierwsza przerwać milczenia.

Przez całą drogę do jej mieszkania układał sobie nasz bohater przemowę, którą miał mieć do swojej narzeczonej; lecz gdy stanął przed nią, gdy ją ujrzał ozdobioną rumieńcem trwogi i pomięszania, przypomniała mu się owa chwila, w której miał szczęście odebrać z jej rąk wstęgę tak pięknie zasłużoną. Od tej chwili bowiem nieznane mu uczucie pierwszy raz jego umysł zajęło; nie miał był dotąd sposobności używania jego słodyczy, a teraz przychodził zerwać na zawsze może wątek szczęścia, którego dotąd nadzieją tylko mógł się cieszyć.

Po ukłonie pełnym uszanowania i po długiem milczeniu rzekł nakoniec Ruszczyc: — Po-

czytuję to sobie za wielkie szczęście, żem znalazł przystęp łaskawy do Pani, dla której pełnym uszanowania affektem przejęty jestem, i z wielką nieśmiałością przychodzi mi wynurzyć powód stawienia się mojego przed jej godne oblicze.

— Powód ten — odpowiedziała drżącym głosem Marya — jest mi zanadto wiadomym, ażebyś Waszmość Pan potrzebował powtarzać go dzisiaj, i gotowa jestem spełnić dane niegdy przyrzeczenia i świętą wolę ojca mojego.

Tu spojrzał na nią Ruszczyc z wyrazem żalu, że musi poświęcić tak piękną przyszłego szczęścia nadzieję, a przytem uwielbiając Maryą, za to że z takiem męztwem poddawała się przeznaczeniu nie odpowiadającemu jej nadziejom, rzekł:

— Jakkolwiek pożądaną jest dla mnie ta chwila, w której się o dopełnienie tak drogiej dla mnie obietnicy dopraszać będę, nie po to wszelakoż teraz przyszedłem. Zawistne bowiem losy położyły tamę spełnieniu szczęścia mojego życia; mam powód nader słuszny odłożenia do dalszego czasu tyle pożądanego związku, i teraz przychodzę wynurzyć żal głęboki, który dla tego serce moje przejmuje.

Zdziwiona Marya nie śmiała badać przyczyny tego postępku Ruszczyca, lecz w milczeniu czekała objaśnienia. On zaś mówił dalej:

— Nie można ci być tajnem, Pani, jak wysoko sobie cenię zaszczyt połączenia się z familią niewygasłej pamięci jej ojca; lecz im wyższą do tego przywiązuję cenę, tym się godniejszym zaszczytu tego okazać winienem. Wszelki czyn tedy, któryby, na mnie jaką niesławę w życiu obywatelskiem mógł ściągnąć, uczyniłby mnie tem samem niegodnym posiadania tego skarbu, który mi ojciec Pani przekazał.

Tu opowiedział Ruszczyc, pod jakim warunkiem chciano zezwolić u dworu na przyspieszenie jego związków z Maryą i dodał w końcu:

— Córka Modrzejowskiego nie mogłaby być małżonką tego, któryby w swojem życiu obywatelskiem cośkolwiek miał sobie do wyrzucenia, dla tego sądzę, iż uznać raczysz za słuszne powody, dla których cię o odwleczenie jeszcze łask twoich upraszać muszę, i spodziewam się, że nie zechcesz przypisać obojętności tego, co tylko nieszczęśliwego mojego losu jest skutkiem. Zbyt jestem do króla mego przywiązany, zbyt mocno znam obowiązki wierności, ażebym miał cośkolwiek przedsięwziąść wbrew woli i życzeniu jego. Dla tego, lubo wiem, iż nikt właściwie nie ma prawa zagradzania mi szczęścia, którebym z rąk Pani odebrał, nie chciałbym wszelakoż, ażebym miał to szczęście z poświęceniem przychylności królewskiej okupić. Nie będę ja przeto upraszał Pani o opuszczenie pobytu dworskiego, lecz wolę oczekiwać spokojnie szczęśliwszej chwili, w której zgodnie z jej serca życzeniem i z wolą mego króla będę ją mógł otrzymać. Do tej chwili racz Pani mieć w pamięci tego, który wszystko, bo własne nawet szczęście, twojej szczęśliwości poświęcić jest gotów, i który między główne obowiązki życia swojego kładzie to, ażeby się zawsze godnym twojej przyjaźni i ufności ojca twego okazał.

To rzekłszy uczuł Ruszczyc mocne rozrzewnienie, a nie chcąc się z niem wydać, skłonił się i żywo się oddalił.

Marya zdziwiona tym obrotem rzeczy, zaczęła rozmyślać nad postępkiem jego i porównywać uczynione przez niego poświęcenie z powodem, który się do niego skłonił. Lubo nie sądziła Ruszczyca być zdolnym owych uniesień miłosnych, któremi się wiek młodociany odznacza, widziała wszelakoż, iż wielką przywiązywał cenę do zyskania jej ręki, i że pragnął jak najusilniej zawarcia z nią związków małżeńskich. Nagła zaś zmiana życzeń jego nie miała znacznych powodów; przytoczona jakkolwiek szlachetna przyczyna, była niedostateczną przyszkodą, gdyż jedno jej słowo, to jest objawienie nieodmiennej chęci opuszczenia dworu, wszelkie znosiło trudności. Marya nie śmiała się zastanawiać nad dociekaniem prawdziwej przyczyny postępku Ruszczyca, ażeby w niej potępienia własnego nie znaleźć. Pobłażanie własnej słabości pozwalało jej wierzyć temu, iż on dla przytoczonej tylko przyczyny związki małżeńskie odkładał; lecz sumienie odkrywało mimowolnie tę tajemnicę, znosiło wątpliwości, kazało się domyślać że Ruszczyc dostrzegł jej skłonność dla księcia, lecz że szlachetny jego sposób myślenia nie pozwalał mu czynić jej wyrzutów i wyjawić od razu chęci zerwania wszelkich związków.

Ruszczyc zaś znalazł jak najłaskawsze przyjęcie u dworu, a zwłaszcza u królowej w pierwszych dniach po jego rozmowie z Wotą. Lecz później gdy pomimo zręcznego badania nic wcale nie wyjawiał o sposobie myślenia swoich kolegów w sejmie, zmienił się zupełnie dla niego horyzont łask dworskich. Odtąd doznał wielkiej

różnicy w przyjęciu siebie u dworu. Wota unikał go, i ledwo, przechodząc koło niego, lekkim raczył go ukłonem. Następnie doświadczał trudności we wszystkiem, co chciał dokonać, lecz zachowując w sercu żal swój, nie zwierzył nikomu przyczyny chwilowej utraty względów, i uśmiechnął się tylko na to, gdy mu mniemani przyjaciele donieśli, iż królowa otwarcie widokom Mondora sprzyja.

ROZDZIAŁ XV.

Chcemy sobie być radzi,
Rozkaż Panie czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają....
Kto tak mądry co zgadnie,
Co nam jutro przypadnie?

Jan Kochanowski.

Korzystając z piękności wieczora pierwszych dni czerwca, siedzieli oboje podkomorstwo pod obszerną wystawą domu swego i używali przyjemności chłodu i świeżego powietrza. Podkomorzy czynił właśnie wraz z kapelanem wnioski nad spodziewanym stanem powietrza i zasięgał jego zdania, czy jutro lub najdalej ze zmianą kwadry, upragniony deszcz świeżej siejby jarej nie pokrzepi? W tem ujrzano konnego posłańca na dziedziniec wjeżdżającego, który uwiązawszy konia u słupa z żelaznemi kółkami we środku dziedzińca umieszczonego i li do tego użytku przeznaczonego, zdjął z daleka czapkę i z uszanowaniem skłoniwszy się państwu, do nich się zbliżył.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł on i prawą ręką czapkę do nóg podkomorzego zniżył, a lewą list przywieziony mu oddał.

— Na wieki wieków — odparł podkomorzy — a od kogóżto przybywacie?

— Od pana brygadyera Ruszczyca, który Jaśnie Wielmożnem Ichmość Państwu respekt swój wraz z tym karteluszem przesyła.

— A, to pan brygadyer wrócił już tedy na wieś — rzekła Podkomorzyna i zbliżyła się do męża ciekawością zdjęta, co przywieziony list w sobie zawiera.

— A wrócił — odpowiedział Kulik, bo on był tym posłańcem, i przy tem podrapał się w głowę, co miało znaczyć, że ten powrot nic pomyślnego nie zwiastował.

— A tyżeś co za jeden, mój bracie — rzekł Podkomorzy.

— Ja — odparł Kulik, jakby się dziwił temu że jego godności nie znano — byłem i jestem szeregowcem w chorągwi hussarskiej, i prócz tego byłem a już nie jestem pierwszym hajdukiem JP. brygadyera.

— A zacóżeś stracił tę godność? — rzekł z uśmiechem podkomorzy.

— Ha Bóg to wie — odparł Kulik ruszając ramionami — pókiśmy zajeżdżali w zaloty, póty byłem ja hajdukiem, a kiedy się to wszystko urwało, nie wiem jak, powiedział mi mój pan:

— Odprawisz mi niepotrzebną gawiedź, bo ja jej w moim domu nie potrzebuję, jest jej tam i tak dosyć, zostaniesz przy mnie, ale się więcej nie zwij hajdukiem; — i ja też mego pana usłuchałem.

Tu spojrzał się podkomorzy na żonę i rzekł:

— Domyślam się co ten list w sobie zawiera! będzie to powtórzenie tego, co nam już Marynka doniosła.

To mówiąc otworzył list, przejrzał go czytając pocichu i rzekł:

— Tak jest w samej istocie, same prawie usprawiedliwienia i pochwały Maryi; widać, że nieborak bardzo jest zafrasowany i że ta odwłoka szczęścia jego wiele go kosztować musiała.

— Byłoby to dla nas i dla niego wielką pociechą — rzekła Podkomorzyna — gdyby nas chciał nawiedzić. Wiesz co, kochanku, trzeba go prosić o to odpisując na ten list.

— Zapewne — odparł Podkomorzy, i dodał obracając się do Kulika:

— Czy pan nie wyjechał z domu?

— Nie — odpowiedział Kulik, a potem rozmyśliwszy się nieco, dodał: za pozwoleniem JW. Pana, o co się Pan pyta?

— Czy Pan jest w domu? — rzekł powtórnie podkomorzy.

— Nie — odparł żywo i krótko Kulik.

Widać było na jego twarzy, że rad był ze swojej odpowiedzi.

Cóż ty gadasz, mój bracie, rzekł podkomorzy — raz że Pan nie wyjechał z domu, drugi raz że go w domu nie masz.

— Drugi raz powiedziałem lepiej — rzekł Kulik — bo tak jak mi Pan kazał.

— Aha, domyślam się — mówił podkomorzy, obracając się do żony — zapewne Pan jest w domu, ale ma jakieś przyczyny, dla których nie chce nas odwiedzić i każe powiedzieć, że go nie ma.

Wtem powstał, dał znak podkomorzynie żeby znim wróciła do pokoju i rzekł do jednego z dworzan swoich:

— Niech temu człowiekowi dadzą wszelkie wygody. Jutro rano dostanię odpis, z którym będzie mógł odjechać.

Wróciwszy do pokoju zasiadł z żoną przy oknie, ażeby z uwagą list Ruszczyca odczytać. Pomiędzy tysiącami wyrazów pełnych oświadczeń i przeprosin za niedopełnienie zamiarów, przebijała się w nim jakaś usilność ukrycia tajemnych pobudek, które mógł mieć Ruszczyc do postępku swego. Wzniecila ona troskliwość podkomorstwa tym bardziej, że niezręczność posłańca kazała się domyślać, iż Ruszczyc chciał uniknąć widzenia się z niemi. Dla tego postanowili jak najmocniej nalegać na to, ażeby ich nasz brygadyer odwiedził, i w odpowiedzi swojej oświadczyli mu, iż ponieważ listowne doniesienie nie może im dać uspokajającej wiadomości o powodzeniu ukochanej Maryi, tak mocną czują potrzebę widzenia się z nim i pomówienia w tym przedmiocie, iż gdyby on we trzy dni po odebraniu tej odpowiedzi do nich nie miał przybyć, to oni sami natychmiast do niego zjadą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISZPANKA

— CZYLI —

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Cela umarłych.

Na trzeciem piętrze więzienia doszedł inspektor z hrabiną do drzwi, przy których stał żołnierz wyprostowany i na krok się ztamtąd nie ruszał. Obok niego dozorca siedział na krzesełku.

Urzędnik zapukał do drzwi, zasuwka we drzwiach się poruszyła, i utworzył się mały otwór, tak jak w bramie przy moście. Twarz pokazała się w okienku i odezwał się głos: „dobrze"; poczem otwór znowu się zamknął.

Ale drzwi nie zaraz jeszcze otworzono, widocznie musiano jakieś poczynić przysposobienia. Nie było słychać z wewnątrz żadnego słowa, żadnego dźwięku. Czekająca kobieta drżała z niepokoju.

— Pani! dziecko pewnie zanadto jej cięży! — zagadnął ją inspektor.

— Nie, mój panie, — odrzekła krótko, i odtąd więcej nie drżała.

Drzwi się otworzyły; przeszła za próg spokojnym, pewnym krokiem. Znajdowała się już w więzieniu skazanego na śmierć małżonka. Była to mała cela. W kącie stał tapczan; cokolwiek pościeli leżało na nim. Naprzeciwko wzdłuż ściany była długa ławka. Pomiędzy ławką i tapczanem był stół. Dwa drewniane krzesełka i para stołków stały naokoło. W środku ściany, przy której była ławka, widziano drugie drzwi. Naprzeciw drzwi wchodowych znajdowało się jedyne okno. Było ono małe, wązkie, wysoko w murze umieszczone. Chcąc przez nie patrzeć, trzeba było najprzód na stół postawić stołek, i na ten dopiero wnijść. I tak nie byłbyś nic widział, gdyż zielone szyby okna były zamglone i porysowane. W której stronie gmachu cela ta leżała, trudno było zmiarkować. Na stole stał dzbanek wody. W pokoju były cztery osoby. Pierwszy żandarm bezpośrednio przy drzwiach. Dwóch dozorców stało przy ścianie obok ławki. Wszyscy trzej uzbrojeni byli w pałasze, żandarm prócz tego miał w ręku karabin z bagnetem. Tak wyglądało w celi, w której skazańców aż do egzekucyi wyroku kryto i strzeżono. Nazywano takie więzienie „celą umarłych". Dwa dni przedtem już przeczytano skazanemu wyrok śmierci, poczem go zaraz przeniesiono do celi umarłych, którą miał opuścić dopiero wtenczas, gdy go poprowadzą na plac tracenia. Wyrok śmierci był wydany w ostatniej instancyi od hiszpańskich sędziów podług form francuzkich, przeciwko Hiszpanowi, co kraj własny chciał popchnąć do powstania z niewoli francuzkiej. Wyrok ten został potwierdzony przez króla hiszpańskiego, wasala cesarza Francuzów, i nie było od niego żadnej apelacyi. Trzy dni dano czasu hrabiemu do urządzenia stosunków majątkowych i do przysposobienia się na śmierć.

Objawił on tylko jedno życzenie, aby mu pozwolono widzieć się z żoną i dziećmi, najdroższemi istotami, które ukochał najbardziej po Ojczyźnie i jedynemi, na których mu jeszcze zależało. Była to przykra chwila i ciężkie spotkanie, jakie żonie gotował, ale któż mu może brać za złe, że sobie nie odmówił ostatniej pociechy, jaka mu pozostała; że przez nię chciał się pokrzepić i wzmocnić, aby módz mężnie znieść najokropniejszą chwilę w życiu, którą miał do przebycia?

Skazaniec był czwartą osobą w „celi umarłych". Był to wysoki, przystojny mężczyzna, w wieku lat trzydzieści kilka. Oblicze jego wyglądało blado: był to skutek nieunikniony długiego siedzenia w więzieniu. Ale pod tą bladością zachował dawną siłę, dawną dumę. Stał prosto na środku celi, z twarzą zwróconą ku drzwiom. Był ubrany jak aresztant: miał na sobie długie spodnie i krótką kurtkę, a wszystko z drelichu. W tem ubraniu zbrodniarza stał on z głową podniesioną, pełen szlachetnego spokoju. Tak czekał na żonę.

Ta weszła prowadząc chłopca, i mając uśmiechające się dziewczę na ręku. I ona siłą dotąd woli prosto trzymać się potrafiła, ale gdy doszła do celu podróży, siły ją zupełnie opuściły: dziecko najprzód oddała w ramiona męża, potem sama się do niego przycisnęła; silnie ją przytrzymać musiał, żeby nie upadła. Obydwaj dozorcy ciekawie się tej scenie przypatrywali; a żandarm przy drzwiach ponuro na nich spoglądał.

— Panowie jesteście tu zbyteczni! — rzekł do nich z galanteryą Francuza i surowością żandarma. Obydwaj rzucili wzrok pytający ku przełożonemu urzędnikowi, który hrabinę przyprowadził. Tenże skinął, aby się oddalili; i wszyscy opuścili celę.

— Podłe dusze, niewolniki bez czucia — mruknął za nimi żandarm francuzki. Mógł to o nich powiedzieć, boć oni zaprzedali się wrogowi.

Więzień poprowadził żonę ku ławie. Posadził ją i sam usiadł przy niej. Potem bawił się z dziećmi. Małą wziął na kolana, chłopca postawił przed sobą, ściskał i całował świeże ich usteczka i spokojne oczka. Cieszył się, że dzieci były piękne, zdrowe i wesołe. Dziewczę go nie poznało, już bowiem trzy miesiące był w srogiem więzieniu, a tak daleko nie sięgała pamięć dziecka. Uśmiechało się ono jednak do pięknego bladego człowieka, patrzało słodko i przyjemnie, głaskało go po twarzy, tuliło się

do niego. Chłopiec zaraz ojca poznał; ale niezwykłe otoczenie, nędzna uboga odzież, bladość oblicza, wystraszyły go.

— Czy to rzeczywiście mój ojciec? — pytał się oczyma raz matki, drugi raz znów ojca samego.

— Fernando, mój dzielny Fernando! — zawołał tenże, i położył rękę na kędziory dziecka. Wtedy chłopiec buchnął głośnym okrzykiem wesołości i zaczął szczebiotać:

— Jużem urósł, mój ojcze, i nauczyłem się konno jeździć. Joachim wsadza mnie zawsze na twego karosza, a wkrótce weźmie mnie z sobą na polowanie. Skoro wrócisz do domu, będziesz miał ze mnie pociechę. Teraz wrócisz z mamą i ze mną, nieprawdaż, mój ojcze? Już tak dawno nie byłeś w domu!

— Tyś zawsze moją pociechą, synu, kiedy tylko matka twoja z ciebie jest zadowolnioną. Uczucie zaczynało brać nad ojcem górę, matce łzy z oczu płynęły.

— A teraz, Karolu, pobłogosław dzieci, pobłogosław i mnie, i przyjmij jeszcze raz ostatnie me podziękowanie za twoję miłość, dzielność, odwagę, za wszystko....

Lecz z większą dumą niż ona podniósł się więzień.

— Nie, moja Joanno, nie chcę, aby błogosławieństwo dla was zostało zbezczeszczonem przez obecność świadków nieczystych.

Tu zwrócił się do prokuratora z zapytaniem:

— Mój panie, czy pan masz mi jeszcze co do powiedzenia?

— Baw się ze siostrzyczką, mój chłopcze — mówił do niego. Potem wstał, odniósł dziecię na tapczan, co mu miejsce łoża zastępowała; chłopiec przybliżył się do niej i wnet dzieci wesoło z sobą igrać poczęły.

Więzień wrócił teraz do żony i wziął ją w objęcia.

— Dzięki ci, Joanno, żeś mojej ostatniej prośby wysłuchała. Ciężką ofiarę musiałaś ponieść dla mnie.

— Twoja ostatnia prośba, mój Karlosie, zbiegła się z mojem życzeniem i dodała mi odwagi. Musiałam cię jeszcze raz zobaczyć, jeszcze raz ci podziękować za twoję miłość, za wierność, za twe wzniosłe i szlachetne uczucia.

— O mój Boże, Joanno! ja ci to podziękować muszę — podziękować za najszczęśliwsze chwile w życiu, jakie z tobą przeżyłem — za nadludzkie poświęcenie dla mnie podjęte; — i jedynem życzeniem, jakie mi jeszcze na sercu leżało, było: złożyć ci przy ostatniem pożegnaniu to podziękowanie, pobłogosławić jeszcze dzieci na ciernistą drogę żywota, — a potem umrzeć mężnie i spokojnie. Myślę, że Bóg udzieli mi odwagi i w tej ostatniej godzinie.

— A teraz jeszcze jedna prośba do ciebie, moja Joanno, ale wymówić jej nie powinienem.

— Wypowiedz ją, mój Karlo!

— Nie, nie! Wszak ty jesteś silną i mężną niewiastą.

— Tak jest, mój Karlo; zgaduję, co chciałeś powiedzieć. Ja nie przyszłam tu na to, aby wylewać skargi mdłego żalu i narzekać na niesprawiedliwość losu; chciałam cię owszem podnieść i dodać ci męztwa, gdybyś ty go potrzebował. Ależ ty nie potrzebujesz podniety; ty sam jesteś dosyć silny, bo wzniosłe uczucie spełnionej ofiary dodaje ci męztwa. Działałeś tak jak każdy patryota, każdy człowiek szlachetny działać w twem miejscu był powinien; potrafisz też umrzeć śmiercią męża, co wiernym sobie zostać musi aż do końca. Ale i ja potrafię być ciebie godną. Zniosę ciężki mój los ze szlachetną rezygnacyą; o, bądź tego pewny. I więcej nawet: zniosę go z dumą, bo czyż nie będę mogła prawie szczycić się, żem była żoną człowieka, co umarł za Ojczyznę?

Wtem jej przerwano. Drzwi z zewnątrz się otworzyły; wysoki mężczyzna, pełen dystynkcyi, wszedł do celi.

— Pan prokurator generalny! — zawołał urzędnik z oznaką głębokiego uszanowania.

Był to generalny prokurator króla hiszpańskiego, francuzkiego wasala. Jako oskarzyciel publiczny wytoczył on był proces hrabiemu Gonzales o zdradę stanu i wniósł dla niego o karę śmierci, która też stosownie do jego wniosku postanowioną została i dziś za kilka godzin miała być wykonaną. Był on Hiszpanem i należał do hiszpańskiej szlachty.

Zwrócił się do więźnia uprzejmie, ale zimno i sztywnie.

— Obowiązek mój nakazuje mi dowiedzieć się, czy pan nie masz jakiego zeznania lub życzenia.

— Nie, mój panie! — odpowiedział również uprzejmie i chłodno hrabia Gonzales.

Uprzejmy przedstawiciel sprawiedliwości zobaczył hrabinę.

— Czy to pańska żona? — zapytał.

Więzień nic nie odpowiedział; odpowiedział za niego inspektor.

— A pani czy nie chcesz może objawić jakiego życzenia? — przemówił do niej grzecznie naczelny prokurator.

Wtenczas żona skazańca podniosła się z szlachetną dumą:

— Tak, mój panie, mam prośbę, abyś pan był łaskaw przysłuchać się temu, co właśnie gdyś pan wchodził, miałam zamiar powiedzieć mężowi. I zwróciwszy się znów do męża mówiła:

— Ja, drogi, Karolu, będę mogła z najwyższą dumą przed całym światem powiedzieć: „Mąż mój poświęcił życie za Ojczyznę, był prawdziwym patryotą podczas największego poniżenia Hiszpanii, wtenczas gdy synowie własnej Ojczyzny tak dalece byli spodleni, że cisnęli się w służbę największych swych ciemiężców: po co? żeby hiszpańskiego ducha, wolność i miłość do kraju prześladować jak największą zbrodnią i karać jako zdradę stanu! I rzuciła się na piersi małżonka.

Generalny prokurator zbladł jak ściana i nie mógł się zdobyć na słówko odpowiedzi. Zawstydzony cały, bo wstyd nie zamarł mu jeszcze w piersiach, opuścił w milczeniu więzienie.

Więzień poszedł potem do tapczana; gdzie dzieci leżały, i stanął przy nich. Żona usiadła obok niego. Najmłodsze dziecko wziął na ręce, przyciskał je do serca i całował serdecznie.

— Oby szczęście i błogosławieństwo nieba były z tobą!

Pocałunki jego i łzy pobłogosławiły dziecko. Włożył je łagodnie w ramiona matki. Potem otarł łzy, wyprostował się i chłopca przed siebie postawił.

— Patrz na mnie, Fernandzie.

Dziecko na niego podniosło niewinne oczy. On mu ręce obydwie położył na głowę.

— Przypatrz mi się dobrze. Wbij sobie me rysy głęboko w pamięć. Nie zapomnij ani jednego słowa, które ci powiem. Nosisz piękne nazwisko, ale piękniejszem niech dla ciebie będzie to, które co dopiero wymówiła twoja matka: imię patryoty. Bądź nim, bądź nim! o ile tylko siły twoje starczą! Potem oddał chłopca matce.

— Wychowaj go tak, jakżeś mnie kochała!

I jak gdyby duch wyższy ogarnął umysł dziecka, zrozumiało ono każde słowo ojca. Głęboka powaga, dumne postanowienie świeciły mu z oczu.

— Chcę być takim jak ty, mój ojcze, — rzekł chłopiec, — i matce to przyrzekłem.

— A teraz do Ciebie, droga Joanno, tylko parę słów, aby serc naszych zanadto nie rozżalić, abyśmy z odwagą w sercu rozstać się mogli. Takiej odważnej kobiecie jak ty, nie zabraknie nigdy obrony; wszystko inne zresztą, jak: miłość i dumę masz w sobie samej. Przyjmij jeszcze raz serdeczne podziękowanie i bądź zdrowa! Na drugim, na lepszym świecie, zobaczymy się znowu, aby się już nigdy więcej nie rozłączyć.

— Wierz w to, tak jak ja w to wierzę.

— O mój najdroższy! ja wierzę, — odpowiedziała kobieta.

Chciała jeszcze mówić, ale już nie była zdolną ani słowa z siebie wydobyć, przycisnęła mu się tylko do serca, a usta ich spoiły się przeciągłym pocałunkiem. Tak stało długo — tych dwoje szlachetnych i nieszczęśliwych małżonków, złączonych niemym uściskiem. Wszakże to już był uścisk ostatni.

Kobieta wyrwała mu się z objęć, potem raz jeszcze ustami ust jego dotknęła, i cichym, ledwo dosłyszalnym głosem szepnęła:

— Karolu! ty musisz żyć.

— On drgnął cały.

Musisz żyć, zaklinam cię!

— Czyż by to było podobieństwem?

— Miej nadzieję.

Zadrgnął znowu na całem ciele. On się już dawno był z życiem pożegnał, zrezygnował na nie. Właśnie ostatnie, najboleśniejsze odbył pożegnanie; teraz tylko już śmierć stała przed nim. Naraz miał znów wrócić do życia?!

— Nabierz nadziei, — mówiła do niego wierna, kochająca małżonka.

Tej nadziei nie byłaby mu z pewnością w serce wlewała, gdyby sama jej nie była miała.

— Więc ty masz nadzieję, Joanno? — pytał jeszcze.

— Mam ją. Dziś w nocy przyjdę do ciebie, prawdopodobnie około dziesiątej. Bądź przysposobiony na wszystko. Do widzenia!

Chciał jeszcze coś powiedzieć — ale ona to odgadła, — i słuchać już nie chciała, a powtórzywszy: „do widzenia" — wyszła z dziećmi za próg więzienia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIEŚLI.

Podanie indyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Odurzony tak świetnemi obietnicami Nur-Singh nie zastanowił się ani chwili i natychmiast przystał na wszystko. Dzień zaślubin został naznaczony a cieśla powrócił do domu zachwycony uśmiechającą się doń przyszłością.

Tuliza i jej matka mocno były zafrasowane tem, że on powrócił z próżnemi rękami, to zkądże miały wydostać grosza potrzebnego na przygotowania właściwe? Zdawało im się zaś zbyt upokarzającem, przy takiej uroczystości wystąpić w ich nędznem ubraniu. Ale za kilka wieczorów przed naznaczonym czasem niespodziewane zjawisko przestraszyło całą rodzinę w sposób dość przyjemny. Z powietrza zjawiło się sto koszów, zupełnie wedle zwyczajnego porządku przy dawaniu podarunków narzeczonej, z tą tylko różnicą że ci co przynieśli byli niewidzialni. Niektóre napełnione były wyborowemi owocami i ciastami, inne zaś zawierały szale i co potrzeba do kobiecej odzieży; wszystko zaś było dziwacznie przystrojone i kolorowemi lampami oświecone. Taki wstęp pozwalał spodziewać się rzeczy dobrych, a Tuliza i jej matka zaczęły nabierać o dawcy takich podarków jak najlepszego przekonania.

To też w czasie oznaczonym stawiły się dokładnie przy studni, ale mocno się zdziwiły zastawszy ją w tym samym stanie co zawsze, dziką i obrośniętą; nigdzie namiotów rozbitych, nigdzie śladu przygotowania do zaślubin. Nakoniec zawołał zawiedziony cieśla:

— Jakże mam wydać córkę za mąż, gdy niema nikogo co by ją wziął?

— Wszyscyśmy obecni, — odrzekł głos — narzeczony i jego przyjaciele; włóż pierścień na palec twej córki a będzie moją.

W tej chwili ukazał się oczom Nur-Singh'a pierścień; wykonał więc polecenie, a gdy się obrócił spostrzegł piękny namiot, pod którym był stół nakryty. Bez żadnej zwłoki zasiadł do stołu wraz z żoną i córką i rozkoszował się niezwykłą, przynęcającą ucztą. Kiedy się najedli i napili do syta, zjawił się przed drzwiami namiotu palankin kosztowny, w jakim zwykłe damy podróżują, ile razy opuszczają mieszkanie.

W tej chwili jednak Tuliza i jej matka doznały pewnego przerażenia i niespokojności, a narzeczona czując dobrze iż jest we władzy potężnego jakiegoś ducha, z którym każda walka byłaby bezużyteczną, z pewnem wachaniem skłoniła się zaledwie usiąść na poduszkach palankinu, i uczyniwszy to, rozsunęła zasłony ażeby raz jeszcze zobaczyć rodziców. Ale ci, zafrasowani o los córki, postępowali za palankinem po pochyłości, w głębi nieznanego wąwozu. Zna-

leźli się nareszcie w okolicy zupełnie nieznajomej. W pośród obszernej uprawnej doliny ukazał się ich oczom wytworny pałac otoczony wysokim murem, przez którego główną bramę wpuszczono palankin wraz z ich córką.

Widząc więc że narzeczony dotrzymał swego przyrzeczenia, powrócili oboje rodzice narzeczonej do chaty, zadowoleni i oczekujący.

Po drodze do domu znajdowali drzewo już powiązane w wiązki. Od owej też chwili nie potrzebowali tak ciężko pracować na utrzymanie, pomyślność ich wzrastała codzień. Najszli posługacza, wybudowali sobie ładny domek i spędzali dnie przyjemnie.

Sąsiedzi, którzy podczas ich nędzy nie troszczyli się o nich zgoła i nigdy nie spytali: czy mogliby w jaki sposób im dopomódz? odwiedzali ich teraz często i ciekawie wybadywali, w jaki sposób udało im się dojść do tego że żyją dobrze i zawsze rozporządzają pieniędzmi. Nur-Singh atoli, również jak jego żona, nie uważali za właściwe zadosyć uczynić ich ciekawości. Zazdrość doszła też wkrótce do tego stopnia natężenia, iż niektórzy ze źle życzących sąsiadów udali się aż do króla z prośbą, aby zmusił cieślę do wyjawienia środków, przez które tak zmienił swoje położenie.

Król dał posłuch niecnym podszeptom i kazał Nur-Singhowi stawić się na dworze, w celu wybadania go sumiennie. Biedaczysko wyznał, bez ogródek i obłudy, wszystko co wydarzyło się przy zaślubinach jego córki i jakie ztąd spadły nań korzyści. Ale jego otwartość mu nie pomogła, król nie uwierzył zgoła w jego opowiadanie, rozkazał w wielkim gniewie wziąść go na tortury, a kiedy Nur-Singh w mękach wyznań swoich nie zmienił, wpadł w tem większą zaciętość i zagroził mu śmiercią.

Nieszczęśliwy cieśla i jego żona zaczęli się obawiać teraz że szczęście ich opuściło i że zrobili źle oddając córkę osobie, o której nic nie wiedzieli i przez której dary wpadli w większą niż przed tem biedę. Jakkolwiek bowiem nieraz głód cierpieli, ale byli bezpieczni od ucisku i krzywdy; a nigdy prawie dola ich tak nie złamała, iżby całkiem stracili nadzieję lepszych czasów. Teraz zaś śmierć zaziera w oczy nieszczęśliwemu mężowi ojcu, a gdyby on został skazany, cóżby się stało z jego żoną, bez pomocy i pociechy pozostałą, a niewiedzącą w której stronie świata szukać córki powierzonej opiece obcego?

Zrozpaczeni tak okropnem położeniem spędzali czas na bezowocnych skargach i narzekaniu na własną łatwowierność, ale mylili się w przypuszczeniu że mąż ich córki opuści ich w nieszczęściu.

W wigilią wykonania wyroku, wieczorem, król słyszał głos mówiący do niego:

— Królu! Niechaj włos jeden nie spadnie z głowy cieśli; on cię nie zwiódł; ja poślubiłem jego córkę i strasznie bym się zemścił na tych, którzyby mu najmniejszą krzywdę wyrządzili.

Król odpowiedział:

— Jeszcze jeden dzień życia mu daruję, ale jedynie dla przekonania się czy masz moc, którą się tak pysznisz: następnego zaś dnia musi umrzeć, gdyż próżne groźby nie zdołają skruszyć moich postanowień.

Kiedy król wstał z łoża następnego poranka, spostrzegł natychmiast że cieśla i on jedynie pozostali żywi z całego miasta; wszyscy inni mieszkańcy pomarli skutkiem pokąsania przez jadowite węże. Król zrozumiał teraz, że miał do czynienia z potężnym duchem, drżał na widok takich dowodów jego gniewu, pospieszył bojaźliwie do więzienia i prosił Nur-Singha ażeby wpłynął na swego zięcia i skłonił go do odwrócenia od kraju klęsk tak niezmiernych.

Dobroduszny cieśla, nie cieszący się bynajmniej z takiej zemsty, zapewnił króla że gotów jest natychmiast zadosyć uczynić jego życzeniom, a jakkolwiek nie wiedział czy jego prośba dojdzie do uszu tego, do kogo była skierowaną, zaczął błagać swego tajemniczego krewnego, aby mieszkańców pomarłych przywołał do życia.

Niezwłocznie coś zaszumiało i zahuczało, a głos znany już przemówił:

— Węże, któreście mój wyrok wykonały, wy tylko posiadacie lek właściwy na jad, którym zabijacie; nie żałujcie go dla tych ludzi i przywróćcie im życie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Kazimierz pożegnawszy poczciwego kmiecia poszedł na Pragę, dziękując w duchu, że przyjaciel jego przypadkiem tej prawdy teraz doświadczył na sobie, którą on mu ciągle powtarzał.

Niebawem także i Leopold miał odebrać podobną naukę.

Oto nazajutrz, to jest w Niedzielę, Kazimierz idąc na zwykłą rozmowę wspólną do jednego z swoich towarzyszów, u którego właśnie pokój był obszerniejszy, ujrzał przed sobą o kilkanaście kroków Leopolda wystrojonego z cudzoziemska. Szedł za nim i myślał o dzisiejszem zgromadzeniu, które miała zaszczycić swą obecnością pewna osoba poważna i dostojna, uproszona przez Kazimierza.

W chwili, kiedy Leopold skręcał na roku ulicy, zbliżył się do niego żyd żebrak, a mając go za Niemca, rzekł do niego po niemiecku, wyciągając rękę:

— Gnädiger Herr! ich bin ein armer Bettler! — co znaczy po polsku: Łaskawy Panie! jam biedny żebrak!

Oburzył się Leopold na żebraka i fuknął:

— Co ty do mnie gadasz obcym językiem? czy nie umiesz po polsku?

— Ach! jam myślał, że wielmożny pan nie tutejszy, — odrzekł żyd chudzina, bo tak nasi nie chodzą.

— Idź, głupcze stary, — zawołał rozgniewany Leopold, a na drugi raz gadaj po polsku!

I odszedł nie dawszy mu ani grosza. — Źle sobie postąpił Leopold, bo najprzód niesłusznie rozgniewał się na żebraka, który go nie znał, a potem, co gorsza, starca poważnego w gniewie głupcem nazwał, czego nigdy czynić się nie godzi, bo starszych należy się szanować, choćby byli żebrakami!

Słyszał tę krótką rozmowę Kazimierz i cieszył się z tej przygody Leopolda, a przechodząc koło tego żebraka, dał mu złotówkę. Żyd wznosząc ręce mówił sobie:

— Ach! co nasz, to nasz! Daj mu Boże szczęście!

Przyszedłszy na naukę, zastał Kazimierz już wszystkich zgromadzonych. Spojrzał na Leopolda szepcącego coś z Albertem, i dosłyszał tylko tych słów Leopolda:

— Mnie żebrak nie poznał.

A Albert dodał:

— A mnie jakiś chłop miał za Niemca.

Słysząc to Kazimierz uśmiechnął się z radości, że małe te zajścia uliczne taki wpływ wywarły na tych młodzieńców, ale nic nie mówił, czekając co się dalej stanie.

Kiedy się nieco gwar uciszył, zabrał Kazimierz głos i tak przemówił do zgromadzonej wiary:

— Bracia! Oto już dość długo schodzimy się na wspólną naukę i pogawędkę, i tuszę sobie, że nauka ta nie była dla nas bezużyteczną. Niech każdy z was przypomni sobie, czem był i co umiał przedtem, a czem jest i co umie teraz. Nie prawda, że wielka różnica? Sami to

sobie, swojej pilności zawdzięczacie. Dziś przygotowałem dla was przyjemną niespodziankę. Znacie wszyscy pana Józefa! Czcigodny ten starzec dawniej był profesorem przy wysokich szkołach, a nawet uczone książki pisywał.

Potem, gdy za to, że kochał Ojczyznę, stracił urząd i nie miał się z czego utrzymać, chwycił się rzemiosła i wyuczył się ślósarstwa; bo jako mądry człowiek wiedział, że praca uczciwa nikogo nie hańbi, i owszem zdobi człowieka; i że lepiej młotem i pilnikiem zapracować na kawałek chleba, niż obcej łaski wyglądać. A pracował pilnie i z Bogiem; panowie nasi też mu nieco dopomogli, i oto za łaską Bozką dorobił się już pięknego majątku: ma dziś już kilka kamienic w Warszawie, a w kuźniach swoich do kilkudziesiąt utrzymuje czeladzi. Aż miło człowiekowi, kiedy widzi tak zacnych ludzi, co to i w głowie mają nauki nie mało, i do pracy uczciwej się nie lenią, jak oto pan Józef, którego dziś cała Warszawa czci i poważa. Nawet sam widywałem nieraz, jak najwięksi panowie odwiedzaii go i witali się z nim, jakby z równym sobie. Tak to uczciwość, nauka i praca człowieka uzacnia i wywyższa! Otóż co powiecie? Ten pan Józef przyobiecał mi, że dziś przybędzie na nasze zgromadzenie i przypatrzy się temu, co się u nas dzieje. Zaszczyt to dla nas nie mały, że tak zacny i powszechnie poważany obywatel nasze małe kółko raczy nawiedzić.

— Otóż właśnie idzie! — rzekł spojrzawszy przez okno, a wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom, które się otworzyły, a w nich ukazał się pan Józef.

Był to sobie starzec szpakowaty, wysoki i poważny, ale dziarski jeszcze i pełen życia; widać że pracowite życie służyło jego zdrowiu. Wszedłszy do izby, pochwalił pana Jezusa, a powitany przez Kazimierza, w te słowa do towarzystwa się odezwał:

— Słyszałem, moi kochani, że w wolnych chwilach zatrudniacie się pilnie i pożytecznie nauką; bardzo to pochwalam i życzę, żebyście i wy sami jak najlepiej postępowali i innych swoim przykładem za sobą pociągnęli. O! uczcie się! uczcie! bo nauka uzacnia człowieka i zbliża do Boga; nauka uczy nas wynajdywać rozmaite sposoby zarobku i niezliczone inne zapewnia nam korzyści. A jak każdemu z nas tak i całym narodom nauka jest nader pożyteczną. Im naród oświeceńszy, tym też potężniejszy. Żadna srogość, żadne prześladowanie, żaden ucisk nie zdołają go zgnębić. A więc uczcie się! Z nauk zaś wszystkich te są najpotężniejsze, które nas obeznawają z tem, co najwięcej kochać powinniśmy, to jest z Bogiem i Ojczyzną. Uczcie się więc wiary świętej przedewszystkiem, a starajcie się też obeznawać z dziejami naszej Ojczyzny, jakeście to już z niezłym skutkiem rozpoczęli. Do takiej nauki mogę tylko powiedzieć: Szczęść wam Boże!

— A teraz, mój Kazimierzu, przedstawże mi towarzyszów!

Kazimierz na to wezwanie jął każdego z osobna panu Józefowi przedstawiać, wymieniając nazwisko towarzysza i rzemiosło. A pan Józef uprzejmie z każdym rozmawiał, wypytywał się o majstra, o rodziców, o pracę, a każdy się cieszył, że starzec i do niego choć kilka słów przemówił.

Kiedy Kazimierz tak kolejno jednego po drugim przedstawiał, zauważył, że Albert i Leopold to bledli, to czerwienili się i kryli się za innych, jakoby unikając rozmowy z panem Józefem. Przeczuwali widać coś dla siebie nieprzyjemnego. Ale nakoniec przyszła i na nich kolej. Zbliżył się starzec do tej pary: stali jeden przy drugim ze spuszczonemi oczyma, a cisza wielka się zrobiła; — wszystkich oczy zwróciły się ku nim!

Pan Józef nie czekając, aż Kazimierz ich przedstawi, spojrzał na nich tak jakby z zadziwieniem, a wskazując na nich, rzekł do Kazimierza:

— A ci! pewnie nie dawno z zagranicy przybyli!

Potem zwracając się do nich rzekł:

— Gdzieżeście to bywali? Byliście pewnie w Niemczech, widać strój jeszcze nie nasz.... no, no, to potem, potem, ale im prędzej tym lepiej. Jakże, czy zgadłem?

Stali obaj nieruchomi, słówka nie mogli wydobyć z siebie na odpowiedź, aż Kazimierz, widząc ich zakłopotanie, odezwał się:

— Są to bardzo zacni czeladnicy stolarscy, pracowici i moralni; za granicą jeszcze nie byli, ale we własnym kraju wyuczyli się tak tęgo swego rzemiosła, że śmiało mogą iść w zawody z zagranicznymi.

— To bardzo ładnie.... — odrzekł pan Józef, — ale jeszcze byłoby ładniej, gdyby.... — i tu uciął mowę, zmierzył ich jeszcze raz okiem od stóp do głów.... potem jakby z ubolewaniem dodał:

— Sądziłem rzeczywiście, żeście nie nasi!

Na tem skończył, przejrzał książki, z których się uczono i czytano, pożegnał wszystkich i oddalił się.

Po odejściu pana Józefa wielka panowała radość między zgromadzoną czeladzią; tylko zajście z Leopoldem i Albertem przykre im było. Jeden nawet z pomiędzy nich zawołał:

— Hej! Albercie i Leopoldzie! już też dłużej nie wytrzymam, jak pozostaniecie tak upartymi.... i chciał dalej mówić, szukał tych, do których mówił, lecz szukał nadaremnie. Nie było ich, wymknęli się cichaczem od nikogo niespostrzeżeni.

Następnej Niedzieli wszyscy jak zwykle zgromadzili się na naukę; Kazimierz jeszcze nie rozpoczął czytania, bo brakło Leopolda i Alberta.

Mówili mu niektórzy:

— Zaczynajmy, oni już pewnie nie przyjdą; tak ich pan Józef zawstydził, że się nam już pewno nie pokażą.

Aż tu nagle otworzyły się drzwi i weszli oczekiwani młodzieńcy; ale w jakim stroju! W sutych, gęsto szamerowanych czamarach, w szerokich szarawarach, w fałdzistych butach, a w ręku trzymali czapki z bobrami!

Tedy widząc ich w takim stroju, krzyknęli wszyscy:

— Niech żyją nasi bracia! — i zaczęli ich ściskać, całować, i śmiali się i cieszyli, jakby z wielkiego jakiego zwycięztwa.

A oni rzekli:

— A co, przyjmiecie nas teraz za braci? Wszak teraz nie tylko duszą, ale i strojem jesteśmy Polakami! Wam to zawdzięczamy, kochani towarzysze, a szczególniej tobie, panie Kazimierzu; — i po bratersku z Kazimierzem się uściskali.

Piękny to zaiste był czyn ze strony Kazimierza; kto inny byłby nimi wzgardził, on ich nawrócił; lecz pięknie także było z ich strony, że kiedy inni ze wstydu lub oporu nie byliby ani kroku ustąpili, to oni przyjęli prawdę do serca i poprawili się.

X.

Powrót do domu i wyprawa w podróż.

Widzieliśmy, jak Kazimierz w Warszawie czasu tylko zbawiennie używał: część poświęcał na wydoskonalenie się w rzemiośle, część na oświecanie i poprawianie swoich towarzyszów. Tak postępując zjednał sobie w wysokim stopniu miłość ostatnich, a u pana Karola już od dawna był za syna uważanym. Po trzyletnim pobycie w jego domu i pracowni takiej nabył wprawy, tyle skorzystał z wykładów szkólnych, że mu raz pan Karol powiedział:

— Widzę z bólem serca, mój Kazimierzu, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy nas opuścisz.

— Moja tokarnia i wszystkie inne w Warszawie za małe już są dla ciebie; a szkodaby było, gdybyś się dalej w swoim zawodzie nie miał kształcić. Idź w świat, mój drogi, przejdź Europę, przypatrz się pracom i zakładom tokarskim za granicą, a z nabytą nauką wracaj nam do kraju i bądź nauczycielem innych!

Tak też rzeczywiście było. Kazimierz tak był zręczny, tak przemyślny w rzemiośle, że wszyscy jego towarzysze, bez różnicy, przyznawali mu pierwszeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VIII.

Delaware.

W r. 1629 zakupił Hollandczyk Samuel Godyn i inni wybrzeże pomiędzy przylądkiem Henlopen i ujściem rzeki Delaware. W kwietniu 1632 r. przybyło tam 30 osadników, lecz ci zostali w pień wycięci przez Indyan. W roku 1638 przybyło 50 Szwedów do tej samej miejscowości i zakupiło na nowo ten sam obszar od Indyan i wybudowało w okolicy dzisiejszego Wilmington kościół i warownię. Miejscowość tę nazwano Christina, a kraj kupiony Nową Szwecyą. Na wyspie Tinicum, niedaleko od dzisiejszej Philadelphii wybudowali Szwedzi miasto, które miało być stolicą nowej kolonii. Zajęcie tej wyspy przez Szwedów nie podobało się Hollandczykom, którzy sobie rościli do niej pretensye, ponieważ pierwsi się tam osiedlili i dla tego postanowili tamtych wypędzić lub też podbić. W r. 1655 przybył nowoyorski gubernator Stuyvesant z 7 okrętami do zatoki Delaware, zniszczył wszystkie twierdze i miasto stołeczne i przyłączył kolonię Delaware do Nowej Niderlandyi. Późniejsza historya tej kolonii jest połączoną z historyą sąsiednich kolonij.

ROZDZIAŁ IX.

New Jersey.

Duńczycy założyli nasamprzód stacye handlowe w Bergen a potem nad rzeką Delaware i nazwali obszar przez nich zajęty Nową Cezareą, którą to nazwę Anglicy zamienili później na New Jersey (1622). W r. 1623 wystawili Hollandczycy nad zatoką Timber, kilka mil od Camden, blokuz i nazwali miejscowość tę Nassau. W tym samym roku przybyły cztery familie z Amsterdamu i założyły osadę tam, gdzie dziś Gloucester stoi. W r. 1630 kupił Michał Penn od Indyan cały kraj od Hoboken aż do rzeki Raritan włącznie wyspy Staten Island i nazwał go P a v o n i a. Anglicy i inni zakładali osady w różnych miejscowościach, a w r. 1665 tworzyło New Jersey już dość znaczną kolonię. Od 1665 aż do 1670 nie płacili koloniści żadnych podatków, lecz gdy w ostatnim roku zażądał gubernator Filip Carteret pół penny podatku od każdego akra roli, poczęli się buntować. Ci, którzy kupili ziemię od Indyan, twierdzili że nikt nie ma prawa żądać od nich podatków. Po dwuletnich zatargach i kłótniach wybuchł w r. 1672 rokosz. Koloniści zwołali nową legislaturę i obrali nowego gubernatora. Gubernator ten chciał właśnie przymusić lud gwałtem do poddania się, gdy nastał spór Anglii z Hollandyą a New Jersey dostało się pod panowanie Hollandczyków. Było to w r. 1673. W roku następnym dostała się kolonia nowa znów pod panowanie Anglii, a gubernatorem został zamianowany Edmund Andros, „tyran Nowej Anglii". Lud żądał, aby dawniejszy gubernator pozostał w urzędzie. Zrobiono nareszcie ugodę, na mocy której New Jersey zostało podzielone na dwie części: Wschodnie i Zachodnie Jersey. W Zachodnim Jersey został zaprowadzony rząd liberalny, z czego korzystając różne sekty, poczęły się tam osiedlać. Przybywało zaś najwięcej kwakerów. Pierwsza legislatura kolonii W. New Jersey zgromadziła się w Salem 1681 i wypracowała konstytucyę.

W r. 1679 kupił William Penn i jedenastu jego braci wschodnią część kolonii New Jersey i zamianował jej gubernatorem Roberta Banley, wymownego pastora kwakerskiego. Teraz to poczęli kwakerzy przybywać ze wszystkich stron: z Anglii, Szkocyi i także z Nowej Anglii i Long Island, aby używać dobrobytu i pokoju; lecz pokój nie trwał długo, bo Jakób zasiadłszy na tronie angielskim, zniósł przywileje większej części kolonij. Andros, gubernator Zachodniego Jersey został nareszcie wypędzony i przez 12 lat panowała anarchia —lecz w r. 1702 widziały się kolonie zmuszone do zupełnego uznania zwierzchnictwa angielskiego. New Jersey było połączone z New Yorkiem aż do 1738, kiedy za staraniem się gubernatora Lewis'a Morris nastąpiło rozłączenie. I od tego czasu aż do wybuchu rewolucyi panował spokój.

ROZDZIAŁ X.

Pennsylvania.

Na początku wojny domowej w Anglii (1642—1651), wskutek której król Karol I utracił swe życie, powstała w Anglii nowa sekta religijna, tak nazwani kwakerzy. Wszystkie inne sekty nienawidziły ich tak w Anglii, jak i w Nowej Anglii, Virginii, Maryland i nawet w Nowym Yorku. W jedynej kolonii Rhode Island byli ścierpiani. Jerzy Fox założyciel tej sekty przybył do swych braci w Ameryce w r. 1673 i znalazł ich wszędzie uciśnionymi. Do najgorliwszych jego zwolenników należał William Penn, syn słynnego admirała. Będąc bogatym, zakupił większą część zachodniej Pennsylvanii. Pierwszy oddział kwakerów przybył do New Jersey w r. 1675 i założył osadę Salem. W tym samym czasie starał się Penn u króla o większy obszar kraju z tamtej strony rzeki Delaware i uzyskał takowy, nazywając go Pennsylvania. Później uzyskał jeszcze dzisiejszy stan Delaware (1682). Nasamprzód urządził rząd demokratyczny a następnie zawarł stałe przymierze z Indyanami w dniu 4 listopada 1682 r. na tem samem miejscu, gdzie dziś się znajduje przedmieście Philadelphii, Kensington. Indyanie dotrzymali swej obietnicy, bo przez cały czas nie przelali ani jednej kropli krwi kwakerskiej.

Następnie założył Penn miasto stołeczne pomiędzy Delaware i Schuylkill rzekami i nazwał je Philadelphia tj. miłość braterska. W rok po jego założeniu było tam już przeszło 100 domów wybudowanych. W r. 1683 wypracował i podpisał sam konstytucyę, która była jak najliberalniejszą. Wolność religii i polepszenie moralności ludu były głównemi zasadami tej konstytucyi. Pokój i jedność, które panowały, przyczyniły się do tego, że Pennsylvania wnet prześcignęła inne kolonie. W r. 1691, gdy Penn się znajdował w Anglii, wybuchły między ludnością rozruchy, wskutek czego trzy powiaty nad rzeką Delaware odłączyły się i utworzyły osobną kolonię Delaware. Kolonia ta stała następnie także pod władzą gubernatora Pennsylvanii, lecz miała własną władzę prawodawczą. W r. 1701 dał Penn swojej kolonii nową jeszcze liberalniejszą konstytucyę jak pierwsza. W grudniu tego samego roku popłynął do Anglii i nie wrócił już więcej. Kolonię pozostawił trzem swym synom: Tomaszowi, Janowi i Ryszardowi, którzy aż do rewolucyi 1776 rządzili kolonią przez zastępców. Następnie stała się Pennsylvania wolnym stanem; spadkobiercom Penn'a spłacił kongres $585,000 za ich pretensye do jakiejkolwiek posiadłości w tym stanie.

ROZDZIAŁ XI.

Carolina.

Już w 16 stuleciu usiłowano zakładać osady nad wybrzeżem karolińskiem, lecz napróżno; o tem wspomnieliśmy już poprzednio. W r. 1653 widzieli się niektórzy koloniści w Virginii zmuszonymi do opuszczenia tego kraju z powodu prześladowań religijnych i udali się po za rzekę Chowan, gdzie założyli wieś. Wkrótce przybyło więcej ich przyjaciół—presbyteryanów. Gubernator Virginii, Berkeley, uorganizował u nich nową kolonię, którą nazwał „kolonia hrabstwa Albemarle" w honor hrabiego tego nazwiska, który w r. 1663 stał się właścicielem całego tego kraju. Karol II, król angielski, atoli nazwał cały ten kraj „Carolina" i podzielił pomiędzy ośmiu swych ulubieńców. Caroli-

na obejmowała wtenczas cały znany kraj od Virginii aż do półwyspu Florida. — W r. 1665 osiedliło się kilkunastu plantatorów w okolicy dzisiejszego Wilmington i utworzyło niezależną kolonię pod nazwą Clarendon. Kolonia ta nie zaludniała się tak jak inne kolonie, bo ziemia nie była zbyt żyzną; utrzymała się jednakowoż i była początkiem dzisiejszego stanu North-Carolina.

Południowa, żyzniejsza część, zaludniła się prędzej. W r. 1670 przybył oddział imigrantów i założył osadę niedaleko od dzisiejszego Charleston, na tem miejscu, gdzie dziś „Old Town" stoi. W r. 1671 przybył Jan Seamans, mianowany guberna torem, z 50 familiami i wielu niewolnikami. Dziesięć lat potem założono tam, gdzie rzeki Ashley i Cooper się schodzą, dzisiejsze miasto Charleston. Imigranci przybywali ze wszystkich krajów europejskich, nawet z kolonii nowoyorskiej przybyło wielu Hollandczyków niezadowolonych z tamtejszego rządu, i wnet widziano kwitnące osady nad rzekami Santee i Edisto. W r. 1669 wypracowali właściciele kolonii założonych w Carolina konstytucyę zupełnie monarchiczną, uznającą szlachectwo itd. Konstytucya ta nie podobała się ludowi i po 20 letniej walce właścicieli z ludem została zniesioną.

Usiłowania właścicieli, aby lud przyjął tę konstytucyę wywołały w północnej części, w kolonii Albemarle, bunt (1677). Lud pod naczelnictwem Jana Culpepper, uwięził najstarszego urzędnika i 6 jego radzców, zabrał publiczne pieniądze i rządził się sam przez dwa lata. Culpepper udał się do Anglii, aby bronić praw ludu, został jednakowoż uwięziony i oskarzony o zbrodnię stanu. Za staraniem lorda Shaftesburg odzyskał atoli wolność i powrócił do Ameryki. Rząd angielski przysłał w 1683 r. gubernatora Sothel, który przez 6 lat uciemiężał lud, oszukiwał właścicieli i używał swego rządu na własną korzyść. Lud nareszcie zniecierpliwiony uwięził go, stawił przed sąd, i wygnał z kraju na rok jeden, pod warunkiem, że nigdy nie będzie piastował urzędu gubernatora. Następcy jego byli ludźmi rzetelnymi, zwłaszcza zaś Jan Archdale, który przybył w r. 1695, a pod którego zarządem stan kolonii stał się kwitnącym.

Podczas gdy to się działo w kolonii północnej, polepszył się także byt kolonii południowej, pomimo iż z początku panowała tam nienawiść religijna i anarchia. Pogodzono się dopiero gdy bandy Indyan poczęły napadać osady, niszczyły plony i kradły bydło. Indyanie zostali pobici; kto nie poległ, został wzięty w niewolę i sprzedany jako niewolnik do wysp zachodnio-indyjskich. Od roku 1682 poczęło przybywać do kolonii tej więcej osadników, jak do jakiejkolwiek innej. Przybywali z Anglii, Szkocyi i Francyi — z tej ostatniej po większej części Hugenoci, którym przez lat 10 (1686—1697) nie chciano udzielić prawa obywatelstwa.

W tym samym czasie panowały wciąż rozterki pomiędzy ludem i zastępcami rządu. Po długich niesnaskach zaprowadził porządek Jan Archdale; pogodził bowiem kolonistów angielskich z francuzkimi, i ustanowił słuszne i sprawiedliwe prawa. Od końca urzędowania Archdale'a trzeba uważać kolonię Carolina podzieloną na północną i południową, pomimo iż podział polityczny nastąpił dopiero w r. 1729.

North Carolina. Koloniści od czasu gubernatorstwa Archdale poczęli się zwracać ku krajowi dalej od morza odległemu, gdzie żyzna rola znęcała rolników, a bobry i wydry przyjaciół łowu. Liczba Indyan nad wybrzeżem zmniejszała się tymczasem coraz bardziej. — Z Hatteras'ów, którzy za czasów Releigha liczyli 3000 głów, pozostało tylko 15 wojowników. Drugie jakieś plemię zaginęło zupełnie, a inne znów, któremu odebrano ziemię przez kupno lub oszustwo, udało się w głąb kraju do odwiecznych lasów. Trunki rozpalające i rozpusta zdziesiątkowały ich szeregi.

Przybywało coraz więcej emigrantów, nawet z nad Renu przybyło w 1709 r. 100 familij niemieckich. Dobrobytowi, który się tak podnosił, zagroziła w r. 1711 wielka klęska. W tym roku bowiem usiłowały zjednoczone plemiona Indyan odebrać przemocą piękny swój kraj, który biali im wydarli. Na czele koalicyi stanęli Tuscarorasy z wnętrza kraju i Corees'y, plemię mieszkające bardziej na południe i bliżej wybrzeża morskiego. W nocy na 2 października 1711 napadli osady niemieckie nad rzeką Roanoke i zatokę Pamlico i wycięli w niej 130 osadników, poczem zaczęli niszczyć inne pojedyńcze osady. Z południowej kolonii przybyła przestraszonym osadnikom pomoc. Pułkownik Barnwell na czele oddziału kolonistów i przyjaznych Indyan, pobił Tuscaroras'ów, którzy zawarli z nim pokój. Kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się jednakowoż wnet na nowo, gdyż biali wracając do domu dopuścili się gwałtów na Indyanach. W grudniu 1712 r. przybył kolonistom na pomoc pułkownik Moore, który Tuscaroras'ów pobił i w marcu 1713 wziął w niewolę 800 z nich. Reszta uciekła na północ do pobratymczych plemion nad jeziorem Ontario, gdzie się z nimi złączyła i utworzyła 6 plemię należące potem do wielkiego związku Iroquois'ów. W r. 1715 zawarto pokój z Corees'ami, od którego to czasu północna Carolina nie miała żadnych zatargów z Indyanami.

(Dalszy ciąg nastąpi).